

Problemy – które trzeba zrozumieć

Wiełbny Thomas Robert Malthus (1766 – 1834), duchowny anglikański, żył w okresie – gdy świat, a szczególnie Europa rozpoczynała swe kapitalistyczne dzieje. Pochodząc z bogatej rodziny ziemiańskiej, podjął kilka podróży, w czasie których bardziej zajmował się ekonomią społeczną, niż sprawami kościelnymi. Obserwacja z okien hoteli i dyktando, przeglądanie statystyki urodzeń i zgonów, brak zainteresowania się mechaniką ustroju, który niesie zło społeczne – doprowadziło duchownego anglikańskiego do „prostego” odkrycia: za dużo jest ludzi, za mało żywności. Dalszy wniosek był – pomijając jego powierzchowność – jeszcze bardziej ponury: brak żywności powoduje wybuch różnych kataklizmów – głodów, epidemii, wojen. Te klęski regulują ilość ludności – pęsetę stwierdził Malthus, który poza pesymistycznym usposobieniem, nie był złym człowiekiem. Doradzał ludziom (w interesie ich „szczęścia”), by późno zawierali związki małżeńskie (sam ożenił się, mając 39 lat i znaczny majątek), by ograniczali liczbę potomstwa (miał czworo dzieci), bo – jak wynikało z jego dociekań – wzrost ludności można przyrównać do postępu geometrycznego (1, 2, 4, 8, 16) a możliwość powiększenia środków żywności do postępu arytmetycznego (1, 2, 3, 4, 5).

Rzecz prosta – nawet najbardziej skuteczną, perswazyjną moralną lub ostatecznie policyjnymi zakazami – nie ograniczy się liczbę urodzin. W naturze człowieka tkwi bowiem pęd do rozmnażania swego gatunku i próby przeciwdziałania temu zjawisku są mniej więcej tak realne, jak stworzenie „perpetuum mobile”. Musimy się więc liczyć ze wzrostem ludności na kuli ziemskiej, jak z wiatrem, deszczem, zmianą pór roku. Rzecz ludzi troszczących się o dobrobyt społeczeństwa, jego przywódców, przewodników, jest stworzenie takiego ustroju, który potrafi mnożyć środki żywności w postępie geometrycznym. Wiemy, że tego ustrój kapitalistyczny nie potrafi.

Nie myślcie, że teoria Malthusa jest dziś już odległą, przebrzmiałą, że jej obalenie jest wywożeniem otwartych drzwi. Wiełbny Malthus ma dziś wielu swych kontynuatorów – szczególnie w USA, właśnie w kraju, gdzie sprzeczności ustroju kapitalistycznego doprowadzają do topienia w oceanie milionów ton zboża, ziemniaków, kawy – by „utrzymać opłacalną cenę”. Tego zjawiska burżuazyjni mędracy

ekonomii nie chcą widzieć, choć rozdierają szaty nad ubóstwem ziemi, która rzekomo nie potrafi ludzkości wyżywić. Twierdzą oni: za szybko mnożą się ludzie (a szczególnie „rasy niższe”: czarni, żółci oraz Słowianie!) – i tym próbują uzasadnić konieczność stosowania co pewien czas „upustu krwi”, a konkretnie – ludobójczej wojny.

Z tego rodzaju wilkołacką teorią trudno się uczciwemu człowiekowi zgodzić. Nawet bez rozważań ekonomicznych nasuwa się od razu, że przyczyną kataklizmów, o których pesymistycznie rozważał Malthus, jest kapitalizm. Dopiero jego likwidacja otwiera nowe horyzonty. Doskonałe udowodnia ten fakt przykład Związku Radzieckiego, gdzie ludzie śmiało wkroczyli na drogę opanowania przyrody; na drogę uzasadnionego naukowo, ekonomicznego optymizmu, który każe wydzierać pustyni bezpłodne, suche ziemie, zamieniać je w gaje, pola uprawne, sady owocowe i kwitnące miasta. Ta droga prowadzi, że można nie tylko nakarmić ludzkość, lecz produkować coraz więcej żywności dla każdego pojedynczego człowieka. Socjalizm jest bowiem naukową teorią historycznego optymizmu, wiary w ogromne siły człowieka, przewyższenie przeszkód i sprzeczności, które narosły w ustroju kapitalistycznym.

Sytość głodnych

Każdy pamiętający czasy przedwojenne wie doskonale: żywności było wówczas „po dziurki w nosie”. Chłopi prosili się, żeby kupować świnie, ziemniaki, zboże. Gospodynie pukały do drzwi prywatnych mieszkań, by znaleźć nabywców na masło, jajka, drób. Czy była to ilustracja faktu, że produkowaliśmy dużo i nie mogliśmy wszystkiego spożyć? Zapytajmy wobec tego: czy naród nasz należał do sytych, to znaczy, czy wszyscy ludzie mieli pod dostatkiem chleba, ziemniaków, mięsa, tłuszczu, mleka?

Każdy pamiętający czasy przedwojenne wie doskonale: nasz naród nie należał do sytych. Było ogromnie, było przeobrażająco wiele nędzy, głodu, braku chleba. W miejscach większych skupisk ludzkich, na ulicach, rynkach, przed restauracjami, kawiarniami, przed kościołami wystawały gromady dorosłych, dzieci i starców z wyciągniętą po prośbie ręką.

Wiele innych faktów, a szczególnie w zakresie bytowania małego i bezrolnej ludności wiejskiej potwierdza wniosek, że obfitość płodów rolnych była „sytością głodnych”, wynikała z nędzy, w jakiej żyła znaczna część narodu. Mówią o tym także suche cyfry. W roku 1939 (dane za 1938 rok) – nie osiągnięto poziomu produkcji rolniczej z 1913 roku – ani pod względem zbioru ze 100 hektarów użytków, ani na głowę ludności. A ludność przecież wzrastała. Przez tłumaczywszy na język codziennych faktów znacząco to: dzieci robotnicze i chłop

dano dwa razy do roku – na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Zacołanie techniczne uprawy roli pogłębiały bowiem stosunki społeczne na



wsi. Jej klasowe rozwarstwienie. Zadłużony u kuliaka biedny chłop nie miał możliwości podniesienia jakości uprawy. Węgetował. Dzieci jego jadły chleb smarowany pozbawionym tłuszczu twarogiem, a mimo to odbierane rodzinie od ust produkty niósł na rynek. Nie czytał tego z dobrobytu, a to właśnie zjawisko stwarzało pozorną „obfitość” towarów spożywczych na rynku kapitalistycznej Polski.

Od czyjej pracy zwiększa się kotlet

Dokonałmyś w latach 1946 do 1953 w dziedzinie produkcji rolnej pewnego, nawet dość znacznego postępu. Przekroczyliśmy o 22 proc. produkcję ze 100 hektarów użytków rolnych, a o 30 proc. produkcję na głowę jednego mieszkańca w stosunku do 1939 roku. Lecz o ile produkcja żywności wzrosła o 22 proc., produkcja przemysłu trzy i półkrotnie przekroczyła przedwojenną. Stąd ogromnie wzrosło zatrudnienie przy likwidacji zjawiska bezrobocia, które także wpływało przed wojną na ową „obfitość” towarów spożywczych, ponieważ pozbawieni pracy nie mogli ich nabywać w dostatecznych ilościach.

Dziś każdy (oczywiście także i ten, który przed wojną nie miał na chleb) mówi: chcę na obiad kotlet, befszyk, kawał pieczeni, czy sztukę mięsa – ewentualnie rybę, smażoną, chcę masła do chleba i na to kawałek kielbasy lub sera; chcę zjeść w niedzielę placzkę, piernika, czy inne słodkie ciastko, trochę owoców, marmolady. Są to słuszne, uzasadnione pragnienia. Lecz równocześnie trzeba pamiętać, że płodów rolnych nie można zwiększyć z dnia na dzień. Trzeba zacząć od podstaw (a to już uczyniliśmy) – od przemysłu. Najpierw trzeba dostarczyć nawozów, maszyn, narzędzi, zwiększyć bazę paszową naszego rolnictwa, by rozwinąć hodowlę świń, krów, drobiu, które potem zamieniają się w dania na naszych stołach.

Rolnictwo nasze nie tylko może, lecz musi zwiększyć swoją produkcję. Jednak „konsumpcyjny” wniosek bez troski o zadowolenia z tego faktu byłby tanim wygodnictwem. Zwyklej produkcji rolniczej trzeba bowiem wypracować i to nie tylko na wsi –

Konstanty Ildefons Gałczyński umarł śmiertelnie poety. Serce mu pękło nagle – gdy pracował nad kolejnym wierszem.

Ileż tych wierszy podarował swym przyjaciółm i czytelnikom!

**Kazimierz
Kozłowski**

Był jednym z tych poetów – powiedzmy od razu: nie wielu poetów – którzy potrafili stać się potrzebą swych czytelników. Niepospolity, oryginalny talent oddał Gałczyński w służbę naszego pokolenia. „Kot” był pisarzem, któremu najdalej były jakieśkolwiek parnasowskie tęsknoty – jeżeli słowem „Parnas” określać będziemy izolację artysty od życia narodu. Gałczyński chciał, by poezja jego była poezją tego świata, codzienną poezją człowieka pracy, by pomagała życiu, by mówiła o kłopotach, radościach i sukcesach ludzi. Chciał być zawsze razem z ludźmi i wśród ludzi. I jeżeli w ostatnich latach był on niezwykle popularnym poetą, jeżeli czytali go wszyscy – zarówno amatorzy wykładowi, jak i czytelnicy o gustach bardziej popularnych; jeżeli wysokie nakłady jego książek w ciągu dni kilku zniknęły z półek księgarskich, to właśnie dlatego, że swą służbę poetycką traktował on jako służbę ludziom. Poezja Gałczyńskiego – jego wiersze, pieśni, satyry – nie tylko oświecała feerią barw, tonów, kształtów, obrazów, ale trafiała w najbardziej osobiste struny uczuciowe.

Dobry wskaźnik są cyfry mówiące, jaką drogą zwiększono popyt w dotychczasowej realizacji planu 6-letniego (w porównaniu z 1949 rokiem). Zwiększono mianowicie dostawy nawozów sztucznych o 64 proc., maszyn i narzędzi o 140 proc., wydatki na pomoc agrotechniczną i zootechniczną o 58 proc. itd. Jest podkreślenie godnym, iż w Polsce Ludowej (od 1945 roku do 1 lipca 1953 r.) „zelektryfikowano 4470 gromad oraz zelektryfikowano 5300 gromad, podczas gdy w ciągu między-

K. I. Gałczyński

Ślubne obrączki

Dla mojej dużej i Twej małej dłoni, w wieczór, przy wtorku kupiłem dla nas ślubne obrączki w „Juwelirtorgu” –

bo nasze dawne, gdy była bieda, strach i areszty, musiałas, miła, na życie sprzedać, w roku 40-tym –

a dziś dni nasze nawet marzenia śmiało przerosły i w samolocie wiozę, w przestrzeniach obrączkę z Moskwy –

pode mną chmury jak panny w bieli, w złocie warkoczy. Lot nad granicą, która nie dzieli, ale jednoczy –

i znów Twe ręce i Twa serdeczność, jak trawa, miękko... A pamiętasz ten wiersz, że „przez wieczność, przez wieczność świecić będą obrączki na reku?”

Moskwa – 1948 r.

Wesoła gwiazdka

Zakochani idziemy pod rękę pod światłem Wielkiego Wozu. A pamiętasz czarną udrękę gdy listy pisałem z obozu?

W snach jedynie widziałem wtedy twoje oczy, Wisłę i most – o, dni pełne strachu i biedy, o, Kriegsgefangenenpost!

Tyle lat zmarnowanych w udręce – jak dwie słoty: groza i nuda. Księżyc wisiał, jak srebrne serce na niemieckich kolezastych drutach

rzekę bólu do dna wtędnym pojął i płynęły noce i dni z widłami w niemieckim gnoju, lub na przyczach w Strafkompanie.

A dzisiaj przynosi noc nam pocałunki i winogrona i szumi jak wieczna wiosna flaga, flaga białoczerwona...

I znów ta uliczka pochyła i tych kłonów pod śniegiem rząd. Wesołych Świąt, moja miła. Moja miła! Wesołych Świąt!

Poznań, Nowy Ratusz Grudzień 1948 r.

zeń wspólnie doznanych i nadzwyczaj szybko i zawsze oryginalnie przezeń przekształconymi, przetopionymi obrazkami tych wrażeń w zdaniach jego najbliższych



wierszy. Poddawał się on łatwo zbiorowemu, wielkim i małym wzruszeniom – i umiał je przetwarzać w strofy naprawdę piękne.

Po wojnie, w Polsce Ludowej Gałczyński na nowo, potwornie stał się poetą. Skończyły się błędne ścieżki ideowe lat dawnych, trzydziesto- i czterdziestoparoletni pisarz wiosną 1946 roku wrócił do Polski, odnajdując jednocześnie drogę do narodu. I tutaj nastąpiły jego powtórne narodziny. Pisał nieprawdopodobnie wiele – wśród arcydzieł i pereł znajdowały się i pośledniejsze kamienie, nigdy chyba nie było jednak wierszy nudnych, szarych. Kolejno powstawały całe cykle satyryczne i liryczne: „Zielona Gęś”, „Listy z fiołkiem”, „Sylwester Marosz”, „Moskiewskie obrączki”, „Niobe”, „Wit Stwos”, wiersze mazurskie. Jego serdeczne i długie zwady z humanizmem i postępowością – skończyły się pełnym pojednaniem. Od ośmiu lat głos poezji Gałczyńskiego brzmiał szlachetnymi nutami pokoju, humanizmu, mądrości i postępu. I choć z krytykami trwały rozmaite boje i potyczki, choć różnie wymierzano poezji Gałczyńskiego sprawiedliwość – dla szerokiego rzesz czytelniczych, Gałczyński był poetą, którego dzieło służyło sprawie pokoju i postępu.

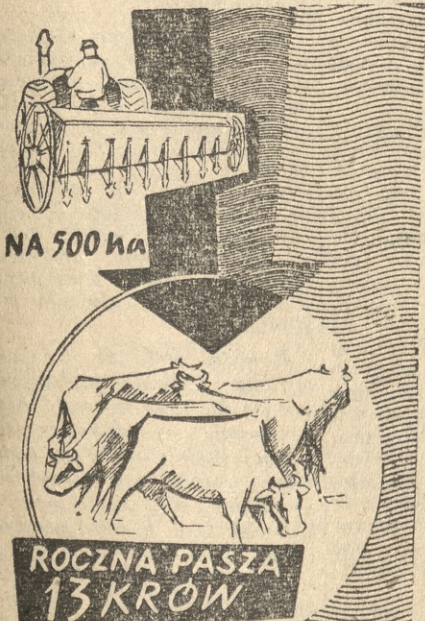
Przyjaciele wiedzieli, jak bardzo Kot Gałczyński chciał być takim właśnie poetą. Jak bardzo pragnął swym kunsztem poetyckim – a należał do mistrzów – prowadzić nie jednego czytelnika taką samą ścieżką i drogą przemian ideowych, jaką sam przeszedł. Jego obrachunki z ciasnymi ideałami kołtuńskiego mieszczaństwa, były bezwzględne i ostre. Jego uwielbienie dla dzieła socjalistycznego twórcy było szczere i gorące.

Konstanty Ildefons Gałczyński przeżył w swym życiu i w swej twórczości długą drogę ideową. Drogę trudną. I gdy dziś stajemy w zamyśleniu, pełni pretensji do okrutnych losów, które pozbawiły nas poety w pełnym rozkwicie jego sił twórczych, wypada nam stwierdzić, że przez wszystkie progi i zapory takiej przemiany potrafił swój kunszt artystyczny przemieścić bez uszczerbku i zostawić po sobie innemu, już ludowemu czytelnikowi, dzieła o wielkim walorze artystycznym.

Śmierć zaskoczyła go w chwili, gdy PIW oddał właśnie do druku wielki wybór z jego wszystkich wierszy – otrzymamy ten tom, niestety, jako tom pośmiertny. Jeszcze długi czas odkrywać będzie my w pismach i teatrach jego najnowsze prace, ale będzie to już dzieła ostatnie. Od szedł od nas drogi, dobry kolega. Pożegnaj nas wielki poeta, który wzbogacił literaturę polską, który wzbogacił świat naszej poetyckiej wyobraźni, który był przez czytelników swoich – kochany.

Literatura polska poniosła ciężką stratę.

POPLONY



MLEKO DLA 65 DZIECI

DWA KROKI NAPRZÓD

czyli o satyrze poznańskiej po raz trzeci

Egon Naganowski

In dulci jubilo, czyli mówiąc po naszymu: śpiewajcie a radujcie się, bo oto zrobiliśmy dwa kroki naprzód. Pierwszy — w dyskusji, drugi — w praktyce, co razem, jak słusznie uczy arytmetyka, „czyni” dwa kroki.

A więc dyskusja. Odbyla się w Stowarzyszeniu Dziennikarzy z udziałem głównej „szpilki” ze „Szpilek”, to jest kol. Mitznera-Szeląga odbyła się w „Nowym Świecie”, gdzie z ciekawymi uwagami i pomysłami wystąpili dwaj czytelnicy A. Medyn i Jerzy Walden (p. „Nowy Świat” nr 48) i gdzie zabrał też głos kol. W. Degler („Nowy Świat” nr 50). Gdy pisałem mój felieton („Nowy Świat” nr 43), w którym poświęciłem zresztą o wiele więcej uwagi trudnościom, na jakie poznańscy satyrycy natrafiają, niż grzechom, które sami popełniają, sądziłem, że za przyspieszenie mojego plemienia ponuraków, wydziewkowców i konkretniarzy doznogą wdzięczność satyryków sobie życzę, że mnie co najmniej satyrykiem honoris causa obwołają. A tu nic podobnego! Kol. Degler nie wyczuł we mnie szczerzego sprzymierzeńca i — co gorzej — ze sprawy satyry nieomal rozprawy między sobą a mną uczynił, wszystko — między liniami — do siebie odniósł, z zamknięciem do te-

się odbywa i miejmy nadzieję, że dalsi dyskutanci jeszcze się włączą. A teraz o drugim, ważniejszym kroku naprzód, o nowym programie Teatru Satyryków.

Najbardziej tu właśnie cieszą lepsze już teksty poznańskie. Taka na przykład „Beczka” J. Mikołajczaka uderza naprawdę bardzo dowcipnie w biurokrację Miejskiej Komisji Lokalowej, słabszy „Tramwaj” tegoż autora wcale trafnie ukazuje różne bolączki i niedociągnięcia naszego miasta. Bardzo miłe są słowa Deglera do piosenki „Zima w poznańskim parku”, w „Poznańskiej satyrze” zaś tenże autor czyta sam swoje dobre, częściowo bardzo ciekawe, choć nieraz jednostronne na kalamburach oparte wierszyki i fraszki. A że ponadto Jerzy Ofierski występuje nie tylko jako konferansjer, ale i jako autor m. in. zręcznych „Zagadek” teatralnych, poznańska część „Odfajkowanego” trzeba w sumie ocenić pozytywnie. Tekstem Mikołajczaka i Ofierskiego, szczególnie „Dobie hotelowej” przydałoby się tylko większa zważność, a Degler może zbyt wiele utworów recytuje, zwłaszcza, że „List Teatru Młodzieży Widza do Teatru Satyryków” jest stanowczo za długi.

Oczywiście nie ma co ukrywać, że skecze „importowane” (przeważnie z Warszawy) wciąż jeszcze górują, nie tylko swą ilością (2/3 programu), ale też, przede wszystkim, literacką i polityczną celnością. Mamy tu naprawdę szeroki wachlarz — od ostrej antyfaszystowskiej „Remilitaryzacji” Prutkowskiego, poprzez świetne „Kadry” Gozdawy i Stepienia, czy wręcz kapitalny antybiurokratyczny i antylewacki fragment operowy „Odfajkowane” Szpalskiego, z bardzo dobrą muzyką Wł. Słowińskiego (muzyczny kierownik teatru), po nie najnowsze już, lecz świetne „Parodie literackie” Zechentera. I choć również „Potrzeba humoru” Wiktorczyka, tępiąca ponuraków i wydziewkowców „szła” już m. in. w radio i choć „Wróżka” Słomińskiego nie zupełnie osiąga zamierzony cel — to jednak z tymi małymi zastrzeżeniami trzeba teatrowi przyznać, że tym razem o wiele lepiej niż w „Siódmych potach” dobrał „ogólnopolskie” teksty i że, gdzie było można, nadał im lokalne zabarwienie (na przykład „Potrzeba humoru”).

Poprawiło się również wykonanie — tu czuje się rękę „importowanego” reżysera Czesła-

mimicznej i recytatorskiej ekspresji R. Dańskiej (również nowy nabytek) i dobrej grze Kamińskiego dużej, chwilami wręcz wstrząsające wrażenie. Reżyser, zonglując tu niebezpiecznie na granicy ekspresji-



Barbara Halmirska
rys. NOT

nizmu jednak granicy tej nie przekroczył, zachował konieczny umiar. Nie można tego powiedzieć o drugiej, tanecznej części „Plo-ciuchary”. Taniec Radiowskiej przez swój zbyt daleko posunięty naturalizm i erotyzm w efekcie bije nie tyle w wynaturzone przejawy „kultury” amerykańskiej, ile budzi niesmak i może w niejednym

widzu wywołać zgłoł niepożądane „dreszczyki”. Numer ten, to jedyny punkt programu, który moim zdaniem, mija się z celem.

Jak pamiętamy, słabym punktem „Siódmych potów” była konferansjerka. I ona uległa teraz znacznej poprawie. Wprawdzie Jerzy Ofierski nie zawsze mówi z dostateczną swobodą, chwilami zbyt zawile wiąże skecze, — ale w sumie jego konferansjerka jest przyjemna, nawiązuje kontakt z widownią, reaguje żywo na „odzywki” z sali, co jest bardzo ważne. Natomiast jako wykonawca osobnych skeczów Ofierski jest bardzo nierówny: we własnej „Dobie hotelowej” i w „Krótkich śpięciach” jest, trzeba czy nie trzeba, zbyt obcesowy, „Parodie literackie” natomiast wykonuje znakomicie.

I jeszcze dwie sprawy: tempo całej pierwszej części przedstawienia powinno być dużo żywsze, scenografia zaś (również Szpakowicza) ogranicza się, podobnie jak w „Siódmych potach”, do najniezbędniejszych elementów. Bo ja wiem — może i słusznie. Szczególnie, gdy dysponuje się bardzo skromnymi możliwościami finansowymi.

Premiera „Carmen”



Dużym wydarzeniem w życiu muzycznym Poznania jest wystawienie przez Państwową Operę im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu opery Georges Bizeta „Carmen”. Opera ta wystawiona została pod osobistym kierownictwem dyrektora prof. Waleriana Biedajewy. Reżyserował Adolf Popławski przy współpracy Maksymiliana Statkiewicza.

Don Jose ma wykonawców w osobach Wacława Domienieckiego, Witolda Łuczyskiego i Józefa Przdy. Escamillo: Stefan Budny, Zygmunt Mariański i Marian Woźniczko. Carmen śpiewają na zmianę: Bożena Brun-Barańska, Antonina Kawecka i Felicyja Kurowiak.

W pozostałych partiach słyszymy solistów: Juliusza Biełkowskiego, Józefa Sendeckiego, Józefa Kaplina, Adama Łukasika, Bogdanę Ratajczaka, Witolda Szpingiera, Bogdanę Seremaka, Dudic-Latoszewską, Dorotę Seremak, Marię Sowińską, Irenę Zychowską, Chwoyko-Charlampowicz, Jadwigę Musielewską, Janowską-Kopczyńską, Krystynę Czarnecką i Didur-Zaluską.



Na zdjęciu: finał baletu w IV akcie. Na pierwszym planie: Barbara Karczmarewicz i Stanisław Miszczyk. Na górnym zdjęciu: Wacław Domieniecki (Don Jose) i Antonina Kawecka (Carmen).



Zdzisław Relski
rys. NOT

matyki kociaków i wampów włącznie. No cóż — „uderz w stół!”, czyli przysłowia sprawdzają się.

W wywodach kol. Deglera, w których przydałoby się nieco rzetelnej a nie ogólnikowej samokrytyki, jest jeden konstruktywny fragment — sprawa Z. L. P. Dlaczego poznańscy satyrycy poza jednym wyjątkiem, tj. samym Deglerem, do Związku nie należą, co by było, gdyby należeli, dlaczego ich nie przyćmieliśmy, nie otoczyli opieką itd. Pięknie i słusznie. Faktem bowiem jest, że jakiegokolwiek by były obiektywne przyczyny. Związek Literatów Polskich rzeczywiście satyrą poznańską się nie zainteresował i „od lutego nie odpowiedział na wnioski” dwóch satyryków. Z drugiej jednak strony sprawę komplikuje tu małe „ale”. Otóż Związek Literatów Polskich ma — jak kol. Deglerowi wiadomo — swoje statutowo ustalone rygory, jeżeli chodzi o przyjmowanie członków, stawia ostatnio coraz wyższe wymagania. Trzeba coś wydać lub przynajmniej aktywnie współpracować z prasą literacką, względnie literacko-satyryczną. No a któż z poznańskich satyryków — zapytajmy teraz — poza kol. Deglerem, drukującym raz po raz w „Szpilekach”, czy „Życiu Literackim”, postarał się o wypływanie na nieco szersze wody? Nie twierdzę, że na przykład J. Mikołajczak nie mógłby tego zrobić. Mogłby. Niemniej nie okazał jednak w tej sprawie — z własną oczywistą szkodą — dostatecznego uporu, czy zainteresowania. Bo nie przynależność do Związku otwiera drogę do piśm literackich, lecz odwrotnie. Ogólnie zaś biorąc — temu twierdzeniu i kol. Degler nie zaprzeczył — satyrycy poznańscy piszą, jak wywodziłem w moim felietonie, wciąż jeszcze bardzo słabo, co Związkowi wielce utrudnia wciągnięcie ich w swoje szeregi. Szczególnie wobec zwiększonych wymagań, stawianych przez Zarząd Główny Z. L. P. Ale miejmy nadzieję, że w końcu wszyscy zainteresowani, zarówno satyrycy, jak i Związek, rozwiążą istotnie palący problem poznańskiej satyry ku obojętnemu zadowoleniu i z korzyścią dla samej sprawy.

Tyle o pierwszym „dyskusyjnym” kroku naprzód. Choć bowiem wypowiedź kol. Deglera w swej zasadniczej linii ześliznęła się nieco na boczne tory, to jednak wymiana zdań



Anna Sobolewska
rys. NOT

wa Szpakowicza. Skompletował on z sił miejscowych i sprowadzonych wcale niezły i bardziej już wyrównany zespół satyryczno-estradowy. Sobolewska i tym razem jest znów świetna w rolach reakcyjnych panisów i plotkarek, a Relski jako Diogenes („Beczka”) i jeden z dyrektorów w „Kadrach” okazał się również nader szczęśliwym nabytkiem. To samo odnosi się do Sewruka w „Dobie hotelowej” i w „Odfajkowanym”. Bardzo miło, z lekką tylko manierą, śpiewa Barbara Kicińska (z Łodzi) Halmirska, dobra w masce, interpretacyjnie we „Wróżce” i „Tramwaju” wypadła słabiej.

Osobnej oceny, tak od strony reżyserskiej, jak i aktorskiej domaga się „Friko” Prutkowskiego i „Plo-ciuchara” Gozdawy i Stepienia. Pierwszy tekst, bardzo ciekawy, wiera dzięki niezwykle silnej

(Dokończenie ze str. 1)

wojennego dwudziestolecia zelektryfikowano zaledwie około 1300 gromad”. A dalej: „Państwowe nakłady inwestycyjne na rozwój rolnictwa wzrosły w roku 1953 dwukrotnie w porównaniu z rokiem 1949...”

Kilka słów o „brakoróbstwie” rolniczym

Już z kilku podanych wyżej danych wynika, że droga podniesienia produkcji rolniczej jest podwyższenie jej świadczących dla wsi, jakości oraz intensywności uprawy. Jest to kwestia zlikwidowania brakoróbstwa, które spotyka się dość szeroko w rolnictwie. Jest ono wynikiem zacofanych metod produkcji.

Jeśli bowiem w powiecie kościańskim ponad połowę zasiewów przeprowadza się ręcznie, to — rzecz prosta — marnuje się ogromne ilości ziarna. Na każdym tysiącu zasianych hektarów traci bowiem społeczeństwo i konkretni gospodarze indywidualni 40 ton ziarna! Wzrost rzędowy (maszynowy) zużywa tylko 160 kg na hektar, a ręczny 200 kg. Przy wysiewie ręcznym w wypadku suszy może część ziarna nie zakiełkować, gdyż zostaje ono na powierzchni, powodując dodatkową stratę w plonach. Tymczasem siewnik każde ziarenko przykrywa ziemią.

Nieprzyznanie obornika rozrzuconego na polu przy dobrej pogodzie (słońce, wiatr), pozabawia go całkowicie związków azotowych, deszcz natomiast wylugowuje związki potasowe. W rezultacie niesumienne gospodarstwo, nieudolny „brakorób rolniczy” zamiast bar dzo wartościowego nawozu — przyorywuje słomę. Tymczasem wiemy, że dobre zastosowanie obornika pod pszenicę zwiększa jej plony o 10 kwintali z hektara. Urodzaj buraków cukrowych i ziemniaków spada bez zastosowania obornika o połowę. Tak samo jest z nieumiejętnie stosowanymi nawozami sztucznymi. Podnoszą one plony nawet o 20—30 procent, lecz nadmierne użycie związków fosforowych „spala” zboże. Przeazotowanie powoduje wybujaanie żyta, które się „kłada”, rozwijając pusty lub bardzo chudy kłos.

Uprawa plonów zapewni dodatkowe ilości paszy. Rozpoznażona w naszym województwie „mieszanka poznańska” daje ponad 500 kwintali masy zielonej. Założywszy, że na 1000 ha mniej więcej 500 ha zajmują zboża, na których powinni być zasiany popłon — taka dodatkowa uprawa może dać ponad 250 000 kg masy zielonej. Jeśli przyjmujemy dawkę dzienną dla krowy na 50 kg, otrzymamy wynik — co najmniej 13 krow na tę część

swojej dziennej racji zapewnią przez cały rok, gdyby na wet nie wychodziły na pastwiska.

Także kwestia stosowania rasowych odmian bydła i nierogacizny jest drogą podniesienia produkcji rolniczej. Przeciętna mleczność krow dojnych w naszym województwie sięga 1 800 litrów, a tymczasem spółdzielnia Krzyżanki uzyskuje w swojej oborze od każdej krowy 4 100 litrów rocznie. Sukces osiągnęli spółdzielcy poprzez racjonalne żywienie i rasowy dobór inwentarza.

Z ołówkiem w rękę

Przeliczmy na język codziennych faktów kilka skutków rolniczego brakoróbstwa na 1000 hektarów użytków rolnych. RACHUNEK PIERWSZY: roczny wysiew ziarna na 500 hektarów — strata 20 ton ziarna, a więc chleba dla 50 ludzi w ciągu całego roku (po około 1 kg dziennie). RACHUNEK DRUGI: niezaoszczędzenie popłonów — brak mleka od 13 krow. Biorąc nawet przeciętną mleczność w województwie poznańskim, jest to strata 23 400 litrów rocznie, a więc ilości, która wystarcza rocznie dla 65 dzieci (po 1 litrze dziennie). RACHUNEK TRZECI: na owoych 1000 ha sieją rolnicy, powiemy, 100 ha pszenicy i nie spieszą się z przyoraniem obornika, który po dwu dniach stracił połowę swej wartości. Stąd na każdym hektarze mniejsze plony o 5 kwintali, w sumie 50

ton ziarna pszenicznego, lub inaczej — 25 ton maki pszennej 50 proc., a więc całoroczne zapotrzebowanie na pieczywo, makę, słodkie ciasto — 138 rodzin złożonych z rodziców i dwójki dzieci.

Takich RACHUNKÓW można by mnożyć wiele. Warto się nad nimi zastanowić, by zrozumieć, dlaczego Komitet Centralny PZPR postawił na IX Plenum zadanie, by osiągnąć (cytuujemy) „zasadniczy postęp w dziedzinie upowszechnienia wiedzy rolniczej i produkcyjnych metod pracy w rolnictwie”. Równocześnie Komitet Centralny stwierdził:

„Dla polepszenia zaopatrzenia gospodarstw indywidualnych w środki produkcji należy: a) zwiększyć zaopatrzenie gospodarstw indywidualnych oraz GOM w maszyny i narzędzia rolnicze, w szczególności: w siewniki — z 6,5 tys. sztuk w 1953 r. do 13 tys. sztuk w 1955 r., w kopaczki — z 8 tys. sztuk do 18 tys. sztuk, w parniki — z 38 tys. sztuk do 75 tys. sztuk, w obsypniki — z 27,5 tys. sztuk do 74 tys. sztuk, w opielacze konne — z 8 tys. sztuk do 23 tys. sztuk, w kultywatory — z 17 tys. sztuk do 20 tys. sztuk... b) zwiększyć sprzedaż gospodarstwom indywidualnym nawozów sztucznych w roku 1955 w stosunku do roku 1953 o około 40 proc., c) zwiększyć poważnie zaopatrzenie gospodarstw indywidualnych w gwoździe, bednarki, obroboczkowe konwie, uprząż, rzemień, drewno opałowe, łopaty, szpadle, łańcuchy itp...”

Dwa więc kierunki — pomoc fachowa i dostawy: narzędzi, maszyn, budulca, nawozów sztucznych, materiału siewnego i zarodowego — składają się na metodę powiększenia plonów w naszej Ojczyźnie. Z jednej strony — od terminowości tych dostaw, jakości dostarczanych towarów dla wsi, a z drugiej — od sumiennego wykonywania zabiegów agrotechnicznych i zootechnicznych, opartych na zdobyciach nauki — zależy wzrost osobistego dobrobytu każdego obywatela. To jest faktem oczywistym.

Też przedzjazdowe uchwały na IX Plenum Komitetu Centralnego PZPR mówią:

„Produkcja globalna rolnictwa winna wzrosnąć w ciągu naj-

bliższych dwu lat o około 10 proc., tj. o tyle, o ile wzrosła w ciągu ostatnich czterech lat. Należy dążyć do zwiększenia globalnych zbiorów czterech zbóż w roku 1955 w porównaniu z rokiem 1952 co najmniej o 600 tys. ton. Należy dążyć do osiągnięcia o co najmniej 5—7 proc., pogłowia bydła o 7—10 proc. i trzody chlewnej o 10—15 proc.”

Człowiek jest potężną istotą

Wiemy, że jest to program zupełnie realny, który z pewnością wykonamy. A wówczas, w oparciu o nowe zdobycze w produkcji rolniczej i przemysłowej, przystąpimy do jeszcze szerszego pomnażania naszych upraw i hodowli. Są bowiem na to środki: nawodnienie, melioracja, nowe, bardziej wydajne uprawy roślinne, nawozy sztuczne, wykorzystanie nieużytków, naukowe metody uprawy podnoszące plony i tak dalej.

No i teraz moglibyśmy zapytać wielebnego Malthusa (gdyby żył) — jak to jest z tą „geometrią” i „arytmetyką”, bo „u nas w epoce socjalizmu” wychodzi nieco inaczej. Jakoś dajemy sobie radę i w najbliższych dwu latach w Polsce Ludowej, gdzie kapitalizm zlikwidowano, produkcja żywności nie daje się przeciągnąć przyrostowi ludzi. A tego nam mało. My chcemy go wyprzedzić. I potrafimy to uczynić. Siegniemy bowiem nie tylko do rezerwy, a także do zupełnie nowych źródeł, jak to czyni Związek Radziecki.

Jeszcze trzydzieści kilka lat temu projektanta nawodnienia pustyni Kara-Kum okrzyczano by za szaleńcem, a dziś oblała się ta fantazja w czyn. Być może niedługo znajdziemy środki, które pozwolą nam uzyskiwać z hektara, na przykład: 80 q ziarna czy 1000 q buraków cukrowych. Powiecie, że to jest fantazjowanie, ale przecież kiedyś szaleństwem nazywano próby nawodnienia pustyni...

Prawdą jest, że ludzkość wzrasta z wielką szybkością, jak się Malthus wyraził, „geometrycznie” — lecz równocześnie jej postęp naukowy, techniczny rośnie jeszcze szybciej — rzekłoby się: „szczęściowo”. Człowiek jest bowiem potężną istotą. Jeśli dziś obala góry, zmienia klimat i kierunek biegu rzek, potrafi siłą ramienia uzbrojonego w nowoczesną technikę użyć dla zapewnienia każdemu wystarczającej ilości jedzenia. To jest całkowicie pewne.

JANUSZ LIKOWSKI
Opracowanie graficzne:
FELIKS SMIEŁOWSKI



Nowa książka poznajskiego pisarza

Piotr Guzy

Tematyka wojenna w naszej literaturze to w dużej mierze, niestety, jeszcze ugory. Dlatego każda nowa pozycja „wojenna” należy powitać z tym większą radością.

„Odcinek południowy” (*) jest książką o bardzo ambitnych zamierzeniach. Korczak postawił sobie tu za zadanie pokazać II Armii w wiosennej kampanii 1945 roku. Obraz miał być więc rozległy, armia pokazana od strony szeregowego żołnierza i od strony sztabu.

Okres, w którym rozgrywa się akcja „Odcinka”, należy do bardzo burzliwych. Połowa Polski, na wschód od Wisły, oswobodzona, w trudnych warunkach rodzi się władza ludowa. Reakcyjne kierownictwo Armii Krajowej realizuje operację „Burza”: utrudnia marsz wyzwolenie armii, za wszelką cenę usiłuje nie dopuścić do ugruntowania się nowej władzy, niosącej z sobą hasła zmiany ustroju społecznego. Zbrodniczy program londyńskiego podziemia spełnia jednak na niczym, gdyż większość społeczeństwa stanęła po stronie demokracji. Wrogiom nowego porządku społecznego nie pozostało nic innego, jak świadoma, bratobójcza walka. Na wyzwolonych więc już terenach grasują bandy leśne, wrogie przodkowi i do aparatu państwowego i stara się go roz-



JERZY KORCZAK

rwąć od środka. Nie pomija oczywiście i wojska.

Na to tło rzuca Korczak II Armie, ograniczając się jednak po większej części do przedstawienia czytelnikowi małego jej wycinka, jednej tylko kompanii. Rzecz jasna, przy takim założeniu musiał autor dążyć do jak największej typizacji zarówno bohaterów jak i wypadków, aby dać w sumie pewne uogólnienie naszej wiedzy o II Armii, pewien jej całociowy obraz.

Bogdan Kowalik, główny bohater książki, reprezentuje w niej zawiedzionego AK-owca, który po upadku powstania warszawskiego przedostaje się na drugi brzeg Wisły, aby wziąć udział w dalszej walce o wyzwolenie. Wyczuwa on raczej instynktownie, że krok taki jest jedynie słuszny. Jego późniejsze losy pozwolą mu dojrzeć ideowo. Nie odbędzie się to łatwo, niejedną opór, niejedną wątpliwość przyjdzie mu przedtem pokonać.

Inny typ stanowi Wacek Cholewa, syn chłopca z Bugu. Od pierwszej chwili rozumie on dobrze, po której stronie znajduje się jego miejsce. Pierwszy w Strzygoniowie reaguje na zdradę por. Puźniakowskiego, który chce cały oddział wyprowadzić do „lasu”.

Na nocy w Strzygoniowie warto się trochę zatrzymać. Oto por. Puźniakowski wspólnie z sierżantem Wiercińskim, byłym NSZ-owcem, mordują Nowackiego, starego przedwojennego komunistę. Po jego usunięciu sprawa przeprowadzenia oddziału do „lasu”, tak im się wydaje, byłaby łatwa. Plan się nie udaje. Puźniakowski kończy swój nieczyny żywot na wieśsi, czym sznurze. Któryś z żołnierzy powiada z pogardą: „Oj, panku, panku, pomyliliście się. Mocnoście się pomylili!” To bardzo mocny skrót, symbol o silnej wyrazistości.

Do Wiercińskiego powracamy znów w ostatnim rozdziale. Wojna jest już skończona, żołnierze wracają do domu. Wierciński, teraz już „Sep”, jest przywódcą bandy podziemnej. Dawniej porównany do AK, teraz widzi, że zasadniczo nie ma żadnych powodów do sporu: „Teraz już nie AK, nie Narodowe Siły Zbrojne... Jest jedność

i to jedność bez pucu. Na śmierć i życie. Po jednej stronie — las, po drugiej — tamci. Trzecia droga nie istnieje. I choćby sto spraw nas dzieliło, musimy się dogadać... za wszelką cenę.” Tak wygląda portret zdradcy. W walce z „Sepem” pada Wacek Cholewa, a Bogdan wysnuwa z tego taki wniosek: „Drogo zapłaciliśmy... przyjdzie nam jeszcze dobrze popracować, nim się „Sepem” szpony wyrwie. Dopóki fruwa „Sep”, spokoju nie będzie”. Taką klamrą, zamykającą w jednej zwartej scenie pewną syntezę, koronującą rozwój ideowy Bogdana, zamyka powieść. Sprawy się wyklarowały, wróg przeszedł jawnie na „tamtą” stronę. Reszta oddziału urosła ideologicznie, wzbogaciła się o świadomość celów walki. Tego rodzaju postawienie sprawy jest zgodne z typowością, której żądamy od powieści realizmu socjalistycznego. To się Korczakowi udało.

Słabiej natomiast wyszła prezentacja armii od strony pracy sztabu. Obraz „est mglisty, niepojęty”. Najlepiej narysowany został generał Świerczewski. Potrafił go autor przedstawić kilkoma tylko kreskami, które czynią tę postać piękną i wzruszającą. Owo człowieczeństwo Świerczewskiego przybliża go i żołnierzowi i czytelnikowi. Niedokrętość w obrazie sztabu zwichnęła natomiast zamierzoną przez autora równowagę.

Skończyliśmy już przy błędach, zasygnalizujemy drugie niedociągnięcia. Wiąże się ono ze sposobem kształtowania przez autora postaci powieściowych. Bez mała wszystkie one zdają się być zbudowane według pewnego schematu klasowego. Przynależność klasowa określa ich postępowanie. Mało tego, wprowadzenie poszczególnych postaci do akcji odbywa się w taki sposób, że czytelnik z góry wie, czy dana postać odegra rolę pozytywną, czy negatywną. Tak nie można. Człowiek nie jest prostą istotą, charakter jego objawia się powoli, w miarę jak wychodzi na wierzch w konkretnym działaniu, poszczególne jego cechy. Przed takim więc schematyzmem trzeba tu Korczaka ostrzec.

Można by się w książce doszukiwać i innych błędów, nie o to jednak chodzi. Każdy pisarz popełnia takie czy inne błędy, uczy się na nich, niewątpliwie więc i autor „Odcinka południowego” wyciągnie odpowiednie wnioski ze swoich potknięć. Ciekawa jest jedna rzecz: mimo tych niedociągnięć w konstrukcji powieści czy też w rysunku postaci, lektura książki jest pasjonująca. Cemu to przypisać?

Odpowiedź brzmi: wartka, zaskakująca akcja. Kilka wątków zawiązanych na początku powieści toczy się równolegle poprzez wszystkie stronic książki, perypetie bohaterów śledzi się z niesłabnącym zainteresowaniem. Sztuka pisarska Korczaka wyraża się m. in. w umiejętności utrzymywania czytelnika w stanie ciągłego napięcia i wyczekiwania. A jeśli dodamy do tego jeszcze naprawdę doskonałe sceny batalistyczne (oddające w żywy i przekonujący sposób bohaterstwo żołnierza, pokonywanie uczucia strachu, zdobywanie się na nieudaną czasami wprost odwagę), wielką zręczność w komponowaniu całych układów batalistycznych (np. kocioł pod Bautzen) znajdziemy drugi czynnik stanowiący o zaletach tej książki. Trzeci, to język zwarty, klarowny, o ciekawym sposobie metaforyzacji.

Zalet jest więc wiele. Potrzeba jedynie autorowi głębszej troski o plastyczność postaci. A że Korczak potrafi, widzimy na świetnie przeprowadzonym portrecie przywódcy podziemia, Żmudzińskiego. To świadczy, że autor jest na dobrej drodze.

Należy przede wszystkim przypuszczać, że następna jego książka, wyzbyta z niedociągnięć, łatwych zresztą do usunięcia z warsztatu pisarskiego, zachowa i rozwinie te wszystkie zalety, które składają się na dużą wartość „Odcinka południowego”, w naszej literaturze wojennej stanowiącej pozycję niewątpliwie potrzebną i ciekawą.

(*) Jerzy Korczak: „Odcinek południowy”, W-wa, M. O. N., 1953.

Amatorska kurtyna w górę

A. W. Walczak

„Jedną z głównych imprez Roku Jubileuszowego 10-lecia Polski Ludowej będzie „Wielki Festiwal Amatorskich Zespołów Artystycznych”.

Wiadomość ta, ogłoszona z początkiem listopada, zbyt wolno toruje sobie drogę i chyba nie dotarła jeszcze do świadomości wszystkich amatorów, szczególnie tych z kulis teatralnych. Dla nich specjalnie termin jest ważny ze względu na sto sunkowo dłuższy niż w zespołach baletowych i śpiewających okres przygotowawczy. Sami musimy przezwyciężyć błędne mniemanie, że na przygotowanie 3-aktowej sztuki, wystarczy okres 2—3 miesięcy. Trzeba zaplanować pracę zespołów na czas dłuższy i nie bać się tych nieodpowiedzialnych gorliwców, którzy domagają się wystawienia sztuk nieraz w ciągu kilku tygodni. Orientacyjnie czas na wystawienie 3-aktowej sztuki w zespole amatorskim został ostatnio ustalony i wynosi około 150 godzin. Jest to w każdym razie okres paromiesięczny. Jeśli zespół nie pracuje co najmniej przez 30 godzin miesięcznie, jest już w przygotowaniach opóźniony. Należy więc w najbliższym czasie dokonać wyboru sztuki.

„Czarniecki”
w mundurze strażackim

Po raz pierwszy przy obecnym pokazie odstąpiono od dotychczasowej zasady — grania tylko sztuk znajdujących się na „liście”. Wykaz, który został już dostarczony zespołom, zawiera orientacyjnie sztuki zalecane. Dla kółek scenicznych mniej zaawansowanych.

U NICH

Na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku powstał nowy wydawnictwo: literatura kryminalistyczna. Studenci tego wydziału słuchają wykładów na temat konstrukcji kryminalistycznego utworu, analizy charakterów i na układowe uzasadnienie wszelkich szczegółów mordu w zależności od okoliczności, w jakich został „zrealizowany”.

Nie ma jeszcze wiadomości z Ameryki, w jaki sposób odbywać się będą zajęcia praktyczne studentów teoretycznie wysoko zaawansowanych.

Angielska firma wydawnicza „Bible Pictures Inc.” doczekała się wreszcie nowej edycji swej biblii. Ukazała się ona w USA w opracowaniu amerykańskiego naukowca — prof. M. C. Gaines z Harvard University. Biblia z marką „made in USA” jest bogato ilustrowana, a dla większej pożyteczności tekst podany jest w żargonie amerykańskim. Scena kuszenia Adama w raju tak jest przedstawiona: Ewa (podobna dziewczyna z Hollywood) mówi do Adama: ciachnij sobie to jabłko, na pewno się nie wykopyrnie. Waż (na drugim planie) mówi: Ha, ha, ale go bierzcie w bajer.

Książkę polecają autografy licznych profesorów, proboszczów i innych duchownych amerykańskich.

List z Opola

Serdeczne pozdrowienia dla poznajskiego baletu

„...między zespołami baletowymi rozwinąć się powinna przyjaźń, wymienianie powinno one między sobą swoje doświadczenia i życiowość, winny podnosić kulturę baletową i traktować swą sztukę przez pryzmat użyteczności ogólnej, a nie ambicji indywidualnych...”

Słowa te cytujemy z listu, jaki otrzymaliśmy od Baletu Opery Śląskiej w Bytomiu. Zespołu ten gościł bowiem w Poznaniu na „Łabędzie Jeziorze”, które — jak piszą artyści śląscy — wywarło na nich niezapomniane wrażenie. Z okazji pobytu w Poznaniu zespół bytomskiego baletu wymieniał z poznajskimi kolegami szereg uwag i spostrzeżeń na temat wielkiego dzieła Czajkowskiego, a sztuki choreograficznej szczególnie.

wanych praktycznie będzie się wybierać sztuki z tego wykazu. Nie kępuje się jednak inicjatywy amatorów, którzy na własną rękę dokonają wyboru sztuki.

W tych ramach na liście znajdzie się przykładowo: „Domek z kart” E. Zegadłowicza, „Trzeba było iskrę” L. Pasternaka, „Dobry człowiek” K. Gruszczyńskiego, „Zwykła sprawa” H. Tarna, „Pociąg do Marsylii” K. Gruszczyńskiego, „Niemcy” L. Kruczkowskiego, „Odczeka na murze” A. Swirszczynskiej, „Czarniecki i jego żołnierze” K. Korcellgo, „Łowczająca fala” B. Prusa, „Nadzieja” H. Heijermansa, „Po-

odświeżyć, niż zaszczepiać na nowo, co nie znaczy wcale, byśmy mieli wyrzekać się tworzenia nowych, szczególnie robotniczych i wiejskich zespołów.

W Wielkopolsce zarejestrowanych jest w tej chwili 240 związkowych kółek scenicznych. Same cyfry jednak nie są jeszcze wystarczającym sprawdzianem żywotności i siły ruchu amatorskiego. Dyskusja, jaką prowadzili kilka tygodni temu na łamach „Widnokręgu” aktywiści teatrów ochotniczych, wykazała



Final II aktu komedii „Tu mówi Tajmyr”, w wykonaniu amatorskiego zespołu „Domu Książki”. Jerzy Jaworski w roli Dłużkiewicza, Urszula Ratajczak jako Dunia i Krawczyński w roli Sawieliewa.

wrót posła” J. Niemcewicza, „Krakowiacy i górale” W. Bogusławskiego, „Zemsta” A. Fredry, „Lubow Jarowaja” K. Treniewa, „Młoda gwardia” A. Fadijewa, „Początek pedagogiczny” A. Makarenki i — przykładowo również — niektóre jednoaktówki A. Czechowa, prócz licznych jednoaktówek znanych z ostatniego pokazu.

Słusznie podchodzą do sprawy te kolektywy, które nie dając się skusić samym tytułem sztuki oceniają trzeźwo swoje amatorskie możliwości. Nie powinien wybierać „Czarnieckiego” np. zespół, który będzie zmuszony grać go, być może... w mundurach strażackich (przykład drastyczny, lecz zacierpnięty z doświadczeń zespołu w Pile przy wystawianiu „Ożenku” Gogola.)

240 zespołów w Wielkopolsce

Ruch amatorski w Wielkopolsce jest obecnie w sytuacji lepszej aniżeli był przed dwoma laty w chwili ogłoszenia Festiwalu Sztuk Współczesnych. Obowiązują nadal i nie przestarzały się doświadczenia wówczas zdobyte. Ważną i niezmienną jest pierwsza zasada, że teatr świetlicowy jest „teatrem politycznym”, że operuje przede wszystkim „siłą przeżycia wewnętrznego”, że znajduje się w „właściwym dystansie od ludzi uprawiających aktorstwo zawodowe”. Tym zasadom, jeśli się nawet gdzieś niegdyś u nas po drodze wypaczyły, należy przywrócić świeże rumieńce życia. Zrozumiałe, że łatwiej je będzie

poważne niedociągnięcia i wypaczenia. Słusznie zwrócono wówczas uwagę na jeden bardzo ważny moment: że

W ruchu amatorskim najważniejszą jest droga, jaką zespoły kroczyć do celu. Ze względu na duże możliwości wychowawcze na tej drodze, władze nasze, nie negując dużych walorów oddziaływania artystycznego w chórach i baletach, przynajmniej amatorskiemu ruchowi teatralnemu szczególnie wysokie miejsce.

„Spod klosza” i „z prowincji”

Ostatni etap był dotychczas dla zespołów momentem częstych rozczarowań i karbowolnych przeżyć. Z dwóch powodów. Dlatego, że zespoły niewłaściwie pojmowały swoje zadania, pracując tylko na efekt i — po drugie — dlatego, że same festiwale prowadziły do licznych nieporozumień. Na terenie Wielkopolski, podobnie jak i w innych województwach, b. niekorzystnie wpłynął ostatnio na pracę w zespołach zbyt krótki okres przygotowań do pokazu zakończonego w lipcu br. w Warszawie.

Tym razem ogłoszenie festiwalu nie koliduje z terminem eliminacji powiatowych w pierwszych miesiącach 1954 r., byle zespoły nie zwlekają przystąpiły do pracy. Zwykle tak się składa, że o zespołach amatorskich mówi się i pisze dopiero w momencie ukończenia eliminacji. Do brzo się stało, że obecnie przy ogłoszeniu czwartego z kolei festiwalu rozpoczyna się w „Przeglądzie Kult.” (nr 46), organie Rady Kultury, dyskusja na temat dotychczasowych nieporozumień.

Ich ofiarą często padały najpracowitsze zespoły, tracili szanse najambitniejsi amatorzy ze wsi, czy z fabryk, którym trudno było wytrzymać konkurencję z zespołami rekrutującymi się np. spośród wybitnie uzdolnionych jednostek w wielkich centrach i instytucjach kulturalnych.

Dlatego też słusznie dyskusji poddano wniosek o miennej oceny zespołów „spod klosza” rekrutujących się prawie w 100 proc. spośród inteligencji i korystających pod każdym względem z uprzywilejowanych warunków, w odróżnieniu od zespołów czyste lub w części robotniczych i wiejskich.

Te ostatnie prowadzą bowiem pracę w znoju i trudzie osiągając lepsze wyniki p drodze do celu, aniżeli w momencie pokazu na jakiejś scenie wojewódzkiej w nierów-

nej konkurencji z zespołami „spod klosza” — jak je nazywa autor artykułu dyskusyjnego J. Kurczak.

Nie obce są również te zagadnienia amatorom z Wielkopolski. Zapewne wiele słusznym wniosków z dyskusji będzie można przenieść i w nasz teren.

Festiwal, który zakończy się w Dziesiąte Święto Odrodzenia dnia 22 lipca 1954 w Warszawie, będzie podsumowaniem osiągnięć ruchu amatorskiego w dziedzinie upowszechnienia kultury. Zeby udział Wielkopolski i w tej dziedzinie był należycie reprezentowany, należy nie zwlekając przystąpić do przygotowań z zapalem znanym tak dobrze wśród poznańskich amatorów sceny.

ZJAZD naukowców - rolników w Poznaniu

Nie po raz pierwszy w Polsce Ludowej Poznaniowi przypada rola ogólnopolskich zjazdów rolniczych. W dniach: 20 i 21 stycznia 1951 r. toczyły się w naszym mieście obrady Krajowego Zjazdu Pracowników Naukowych Rolnictwa z zakresu produkcji roślinnej, w roku zbieżnym, w dniach: 18, 19 i 20 bm. odbędzie się I Ogólnopolska Konferencja Wyższych Szkół Rolniczych. Wielkopolska jest ważnym terenem produkcji roślinnej, posiada przodujący ośrodek naukowy, który może pościć się poważnymi osiągnięciami. Obecna narada ma na celu opracowanie wytycznych do dalszej pracy uczelni rolniczych, wykrycie rezerw osobowych i rzeczowych oraz ustalenie środków do walki z brakami i trudnościami.

Państwo oczekuje od wyższych szkół rolniczych: 1) kształcenia wysokowykwalifikowanych kadr dla potrzeb praktyki, 2) rozwoju pracy naukowej, jako drogowy do działania dla praktyki, 3) kształcenia nowej kadry naukowej, 4) upowszechnienia wiedzy rolniczej.

Kształcenie kadr dla potrzeb praktyki jest podstawowym zadaniem wyższych szkół rolniczych, gdyż od jakości i ilości wykwalifikowanych ludzi zależy w pierwszym rzędzie tempo wzrostu produkcji rolniej. Wychowanie młodych naukowców stanowi wielki problem wyższych uczelni rolniczych.

Wyszkolenie młodzieży zależy od starej kadry kierowniczej. Teza Stalina: „Zadanie polega nie na tym, aby orientować się tylko na kadry stare lub tylko na kadry nowe, lecz na tym, aby wziąć kierunek na skrajzenie, na połączenie kadr starych i młodych w jednej wspólnej orkiestrze kierowniczej pracy partii i państwa” — stanowi drogowskaz rozwoju oraz wycieczną drogę właściwego wykorzystania pracowników nauki.

Jeżeli chodzi o poznański ośrodek naukowy, a ściślej mówiąc o Wyższą Szkołę Rolniczą, realizowała ona smiało ten postulat. Dała dotychczas 16 naukowców — rolników, 67 doktorów w różnych dziedzinach rolnictwa i leśnictwa, 12 aspirantów, 16 kandydatów nauk, a w roku akademickim obecnym da 15 nowych kandydatów nauki. Jest to oczywiście za mało w stosunku do potrzeb województwa poznańskiego — zwłaszcza, że po znańska uczelnia obsługuje również część północno - zachodnią Ziemi Odzyskanych. Ten sam brak wykwalifikowanych sił naukowych w stosunku do coraz bardziej wzrastających potrzeb społeczeństwa odczuwa reszta kraju.

Dalszym tematem Zjazdu Naukowców Rolniczych będzie współpraca nauki z praktyką i upowszechnienie wiedzy rolniczej. Dotychczasowe formy tej współpracy wymagają jej polepszenia. Wkład indywidualny poszczególnych katedr, zakładów samodzielnych i pomocniczych o raz sił naukowych jest znaczący, korzyści jednak nie stoją w żadnej proporcji do włożonego wysiłku. Współpraca ta w świetle IX Plenum KC PZPR wymaga opracowania konkretnych form organizacyjnych, musi być prowadzona zespołowo i skupić się na takich zagadnieniach, jak zwiększenie bazy paszowej, zwiększenie urodzaju ziemniaków, zagospodarowanie piasków, mechanizacja w rolnictwie itp.

Przedmiotem obrad będą także sposoby popularyzacji wiedzy rolniczej poprzez broszury, prasę, film i radio.

Dyskusja nad tezami Zjazdu i uchwały, jakie zostaną powzięte, pozwolą nauczycielom lepiej odegrać rolę, jaka im przypada w państwie socjalistycznym zgodnie z myślą przewodnią referatu Bolesława Bieruta na IX Plenum KC PZPR.

H. B.

